Rozmaitości

Dnia 23. Listopada Nr 47. 1839 Roku.

WYPADKI JMCI PANA

BENEDYKTA WINNICKIEGO

W PODRÓŻY JEGO Z KRAKOWCA DO NIEŚWIEŻA 1766 ROKU I POWRÓT W DÓM RODZICIELSKI. (*) 1)

G A W Ę D A.

»Papką, czapką i szkapką,
Solą, rolą i wolą
Ludzie ludzi niewolą!«

(Stare przysłowie.)

»Nudzi!« — Bo stary! a starych to wada.
»Nudzi!!« — Wiesz czemu? bo prawdę powiada;
Lecz kto ma prawdę i przyszłość na pieczy,
Znać też powinien wszystkie dawne rzeczy.

Nie dziś to się działo — ot, kiedym był młody,
Oddał mnie mój ojciec na dwór Wojewody.
Więc jeszcze zaznałem téj dworskiéj polewki,
Zaznałem i dwory i pany i zamki,
I te to od ojców sławione nam śpiewki:
»U dworu wielkiego trzymaj się choć klamki!«
Pan Cetner siadywał w Krakowcu bywało, 2)
Lecz dziwnie tam jakoś na dworze się działo;
Coś niby z francuzka i z polska potrosze,
A modnie to było, (jak teraz już wnoszę)
I nie tak jak zwykle po dworach u panów:
Pan Cetner nie lubiał mieć licznych dworzanów,
Na łowy nie jeździł, o niczém nie wiedział,
Do konia nie tęgi, w pokoju sam siedział
W trzewiczkach, z książeczką, coś cedził, chorował,
I tylko Francuzów i kwiaty chodował.
I było też smutno w Krakowcu na dworze,
Jak gdyby *devotus* człek siedział w klasztorze,
Lecz dobrze, mówili, do pióra młódź wkładał,
Więc ojciec mnie oddał i trochem się nadał.
Jak cały Krakowiec szły pańskie zielniki, 3)
A kwiaty przezwane na wszystkie języki,
Na dworze, pod szkłami, pod siatką, pod błoną,
Na ziemi i w wodzie — iż tylko tam pono
Onego to drzewa im jeszcze nie stało,
Cobyto, jak w bajce, zaklęte śpiewało,
I jabłka co nocy rodziło im złote,
Ej miał też tam *Musie* Żardzinier robotę!
Dopiéroż, przy stole, bywało się znudzę,
Bo tylko chwalono dowcipy gdzieś cudze,
I kraje, zwyczaje, i księgi, i lice,
I jakieś francuzkie sławne nierządnice; 4)
A o czém to mówić naówczas po kraju,
Jak uszy puściwszy, nie było zwyczaju.
Pan Cetner, choć sam się był w kraju urodził,
I do szkół jezuickich we Lwowie był chodził,
Gdy potém odwidził postronne gdzieś kraje,
Wniósł z sobą do Polski dziwaczne zwyczaje,

(*) Artykuł ten zastrzega sobie autor prawem własności od przedruku. Red.

1) Wypadki w téj gawędzie opowiadane słyszałem w młodości mojéj do Jmci pana Benedykta Winnickiego, przyjaciela mych rodziców.

2) Jest tutaj mowa o Wojewodzie Bełzkim Cetnerze, u którego Benedykt Winnicki był dworzaninem skończywszy szkoły u ks. Pijarów.

3) Jeden z pierwszych ogrodów na stopę zagraniczną założył Wojewoda Cetner w Bełzkim na początku panowania Stanisława Augusta i ogród ów słynął podówczas w całym kraju. Położenie miejscowe Krakowca mało sprzyjało temu: kraj równy, nie otwarty, piasczysty; ale sztuka zrobiła tu wiele. Po śmierci Wojewody był ten ogród długo zaniedbany, najkosztowniejsze poginęły planty; ale ulice sadzone, pojedyncze grupy i drzewa świadczą jeszcze o dawnéj piękności.

4) Czas panowania *metres* nad Francyją. Podobnie jak dziś są zmiany ministrów w Europie przedmiotem rozmów potocznych, tak też znano podówczas najdrobniejsze intrygi *metres* królewskich. Sława onych brzmiała we wszystkich pałacach Europy. Portrety i wizerunki onych z wosku i porcelany zdobiły pokoje i kominki. Zaszczytem było mieć pieski téj saméj rasy, suknią lub obicie pokoju w takie same kwiaty. Znakomici podróżni, wracając do kraju, przywozili od tych dam upominki. Zabawne to były czasy, bo tyle zajmowały owoczesnych ludzi, co nas dziś zmiany ministrów.

Więc można to sobie z łatwością wystawić,
Jak temu rad byłem, gdy raz nam powiedział:
»Mam Waszmość do panów, mój bracie, wyprawić.«
I kiedym na koniu z listami już siedział,
A zwłaszcza gdy podróż w aspektach zbyt miła;
Mnie bowiem pan oddał list do Radziwiłła.
Bo były powstały po kraju rozruchy,
I różne się tarły i partyje i duchy.
Pan Cetner za królem zniewalał umysły,
Bo łączył obudwu stosunek dość ścisły,
Gdyż ze szkół się znali obadwaj panowie
Z konwiktu od księży Jezuitów we Lwowie,
Gdzie razem się zbiegły chłopięta ziem ruskich: 5)
Dwóch było Potockich, Krasickich, Rzewuskich,
Trzech Ciołków i Cetner, co razem jak braty 6)
I w piłkę grywali, i bili w palcaty,
I razem na jednéj ławicy légali,
I razem się nie źle potém kiérowali:
Bo jeden wziął mitrę, a drugi buławę,
A trzeci wziął laskę, a czwarty wziął sławę,
A piąty, pan Cetner, został Wojewodą.
A sławny Stanisław światłem i urodą:
Siadł nawet na tronie — a kiedy królował,
Więc dawnych przyjaciół w pamięci zachował,
I świadczył im łaski, nawzajem kochany. —
Więc otóż i Cetner był panu oddany,
I słał mnie podówczas na Litwę z listami.
  A miałem podówczas ja szkapę kochaną,
Lecz piękność mnie w koniu od dawna nie mami;
Przyciężką miał głowę »Głowaczem« go zwano,
»Weź sobie innego« — mówili dworzanie —
A na co innego? myślałem mosanie:
Koń czuły i nożny i twardy do drogi,
Adwokat niech głowę, a koń niech ma nogi!
I dobrze to bywa gdy piękność nie mami,
Bo zrazu jechałem znanemi stronami
Wraz z drugim dworzanem, co został w Ostrogu,
Lecz kiedym już zabrnął w zapadłe Polesie,
Myślałem sam sobie: ha, oddaj się Bogu!
Zła będzie rozprawa z tobą panie biesie!
Bo mazią po piasku te mile się wleką,
I chłodno i głodno i do dom daleko!
A nawet do karczmy. — Raz jadę dzień cały
Przez piaski i groble, przez błota, zawały,
I karczmy dojeżdżam dopiéro wieczorem;
W karczemce żyd siedział jak cygan pod borem.
Tu głowacz strudzony, tum głodny mosanie,
Więc fuknę na żyda: A czego dostanie?

»Jest starka, 7) są jaja...« A owies? — »Ba, niéma.
Lecz niech się pan przecie na chwilę zatrzyma,
Bo gdzież pan pojedziesz? wszak noc już zapada;
Po puszczach rozboje, i sama noc, zdrada!« —
I pobiegł, mnie wódki utoczyć, skwapliwy.
  Za stołem w karczemce dziad siedział sędziwy,
I kiedy żyd odszedł, dziad do mnie powiada:
— »A niech pan nie wierzy i tém się nie biedzi,
O milę jest karczma, katolik w niéj siedzi,
I będzie czém konia pokrzepić i zdrowie,
Tam zwykle podróżni nocują panowie.« —
  Więc siadam i jadę — lecz jadę i jadę,
I widzę, że trudno téj puszczy dać radę!
Ni karczmy, ni wioski, a koń się sfasował.
Spojrzałem na kwoczkę, z północy już stała; 8)
Więc biłem się myślą — ha, będę nocował!
Bo już też mnie chętka i do snu zbiérała;
Więc konia puściłem zjechawszy kęs z drogi,
Kulbakę pod głowę, linewkę do nogi,
I ległem, pacierze zmówiwszy w pokorze.
Lecz usnąć nie mogłem; wiatr świstnął po borze,
I ckliwie mi było. — Gdy człowiek frasowny,
Najlepszy towarzysz, choć nie zbyt wymowny,
Jest ogień i lulka — gdy ogień ów błyśnie,
Człek dłużéj z smutnémi myślami nie kiśnie;
Gdy dymek podleci, gdy płomień wystrzeli,
Coś dziwnie człowieka na sercu weseli,
I puszcza się światem myślami jak w drogę.
A ja to na śmiało tak puścić się mogę,
Bom ja to nie psował ojcom doma kaszy,
Bywałem po świecie, ba w Jasach, w Chocimie,
Jeździłem z listami i nieraz do Baszy,
I tamto sam Basza (choć nie chcę się chwalić)
Przyuczył mnie lulkę na dworze swym palić,
I odtąd już sobie podobam w tym dymie,
I myślę o Baszy, gdy lulkę zapalę.
  Więc w ówczas na puszczy czyniłem tak wcale;
W tém koń mi się szarpnął i przystrzygł uszyma.
Spojrzałem do koła, a w koło nic niéma;
Lecz rzenie się jakieś z głąb puszczy dobywa,
A rumak mój odrzał i znowu się zrywa.
O zbójcach mówiono — więc przeszło mnie mrowie,
A rzenie się znowu odzywa w dąbrowie;
Więc wziąłem nabity pistolet i szablę.
Za młodu o piúskim słyszałem ja djable,
Więc »Kto się w opiekę..« zrobiłem znak krzyża 9)

5 i 6) Dziwnym trafem chowało się razem w konwikcie u księży Jezuitów we Lwowie kilku młodych ludzi, którzy współcześnie znakomite potém w kraju zajęli posady; mówię tutaj o hetmanie Rzewuskim i marszałku Rzewuskim, o wojewodzie Potockim, o księciu biskupie Krasickim, o Cetnerze wojewodzie Bełzkim, a w końcu o podkomorzym, prymasie i królu Poniatowskim. — Herb Poniatowskich jest ciołek.

7) Wódkę okowitę ze zboża paloną przechowują na Litwie przez lat wielę zanim na potrzeb ją biorą. Wódka nabiéra ztąd smaku dobrego, a od kuf dębowych ciemnego koloru. Za zwyczaj nazywają ją starką albo staruszką.

8) Znak Plejady na nocném niebie pospolicie kwoczką zwany.

9) Początek 90go psalmu, należącego do modlitw przygodnych, powszechnie znanych. Kto go zaś nie zna, tego wysłać na morze lub wojnę, to go się nauczy, tak mawiali starzy.

A rzenie się co raz do ognia przybliża,
Ściągnąłem łeb konia i siadłem za krzakiem.
Po chwili — aż pełznie do ognia coś rakiem,
I błysło nad ogniem, powstawszy, żelazem,
I pchnęło w mą burkę na ziemi zarazem.
Jam zmierzył do ognia i kiedym wypalił,
Na chaszcze się obwieś czy djabeł powalił.
Zerwałem się raźno, rzuciłem się żywo,
I daléj ruszyłem nie bardzo leniwo,
I żywy i cały przy opiece boskiéj
Dobiłem się w końcu o świcie już wioski.
Tam duby smalone prawili o dziadzie,
Co stoi po puszczach podróżnym na zdradzie,
A gdym się pochwalił, żem go już zastrzelił,
Lud wszystek się wielce przytomny weselił.
Wytchnąłem tam dobrze i daléj bez szwanku
Stanąłem w Nieświérzu, »mój panie kochanku!« —
W Nieświérzu siadywał Radziwiłł pan z panów 10)
I książę z krwié zacnéj i hetman z hetmanów!
Nie darmoto szlachta mawiała ówcześnie:
Że chudy pachołek w Nieświérzu jak we śnie.
Mówili, że w skarbcu ma trąbkę, mosanie,
Co słychać na całą już Litwę jéj granie,
A strzeż się gdy łaskaw, bo zginiesz tam w złocie.
Dopiéroż ów klejnot!? Trzy trąby w klejnocie! 11)
A każda jak ona, co w skarbcu ją chował,
Nie darmo się przeto i człowiek dziwował,
Gdy wjeżdżał w te progi — boć tam to zamczysto,
Budownie, warownie, a wiérzchem złocisto!
Most wiódł mnie do zamku, a most był zwodzony,
Za mostem budowne wznosiły się brony,
Za niémi dziedzińce, ogrody i place,
I kościół i klasztor i pańskie pałace!
Zgłupiałem w dziedzińcu na piérwszym już kroku,
Ujrzawszy niedźwiedzia, a tuż, tuż przy boku!
A za nim gwałt luda i kądle spuszczone
I hałas: »Zamykaj! zamykaj tam bronę!«
Tu widzę szlachcica zabiorą obławą!
Bo jakby na harcu zażyli mnie wieńcem.
A co się to znaczy? Koń rzucił się w prawo,
Wziął na kieł i rusza na oślep dziedzińcem,
Wziął na kieł i mija dziedziniec przydworny,
I leci na oślep na ogród klasztorny.
Ha, trzymam! Nie wstrzymać! obławę wyboczył,
O ratuj mnie Chryste! chlust, i przez mur skoczył.
I stanął i parsknął — spojrzałem do koła:
Jedyna fórteczka wiedzie do kościoła;
Więc coby tu począć? — rozmyślam — a biéda!
Sowizdrzał, powiedzą — przed dworem ochyda!
Sowizdrzał, powiedzą — wypadek fatalny!
Et quidem nie darmo, bo dzień był feralny,
Lecz gdy się tak biédzę i patrzę do koła,
Nadbiéga dworzanin od fórty kościoła,
I prosi do księcia a niby to grzecznie,
Tymczasem widziałem, że śmiał się serdecznie.
A kędyż mam jechać, gdy jechać nie mogę?
Ej czy waść drwisz sobie, czy pytasz o drogę?
—»A nie wiém już komu« — powiada — »z nas obu
Nie stało tu drogi? no szukaj sposobu!
Przez kościół nie wrócisz, a w koło mur wszędy,
Więc kędyś tu wjechał, wyjeżdżaj tamtędy,
Znaj bratku, w Nieświérzu na fryców tu matnia.«
Więc passyja mnie na to porwała ostatnia,
A miałem, jak na raz, po dziadu kord sławny,
Na tylcu choć ligaj! a w jaszczur oprawny.
Co będzie, to będzie! myślałem więc w duchu,
Ej urwę szlachcica na odléw po uchu!
Aż on mnie: »Mosanie! pan zadrwił z waszmości,
A nie daj drwić z siebie, do kupy zbierz kości
I ruszaj, jak mówią: koniem i odwagą —
Więc sztuką krzyżową pociejowską plagą!«
Co mówisz? — powiadam — tak sądzisz? a dobrze!
Jak skrobnę więc konia nahajem po ziobrze,
To ledwo mnie waryjat z kulbaki nie zsadził,
Lecz lekko się wyniósł i w skoku nie zdradził;
A w téjżeto chwili sam książę wypalił,
I sztofem niedźwiedzia o ziemię powalił.
Z hałasęm go psiarnia dopadła i szczwacze,
A z brony na *Vivat* zagrały trębacze.
Onego niedźwiedzia, jak późniéj mówiono,
Przed laty raz w puszczy na sieci złowiono.
I siedział przed kuchnią książęcą na kole,
I z dawna stroiły z nim kuchty swawole,
Lecz srodze też niedźwiedź ukarał junaka,
Bo ubił kuchcika i spłatał kozaka;
A czego się książę tak mocno użalił,
Że poszczuć go kazał i sztofem powalił.
Gdy wrzawa nadstała i książę siadł w ganku,
Rzekł do mnie po chwili: »Mój panie kochanku!
Waszmości, jak widzę, nie trudno o plecy;
Nie chciałbym ja bronić przed tobą fortecy,
Bo dziwną do murów przebiérasz się drogą.
No, widzę masz listy? a proszę, od kogo?« —
— Od pana Cetnera! — »Co?! Cetner poczciwy!
Mój panie kochanku, ach jakżem szczęśliwy!

10) Jest tutaj mowa o Karolu Radziwille, panu na Nieświérzu i Ołyce, który był w rodzie swym z kolei dwunastym Wileńskim wojewodą. Najpopularniejszy człowiek wieku swojego, a może typ popularności polskiego pana czasu owego. Dykteryjki jego, które sam komponował, krążą dotąd między szlachtą i wiejskim ludem na Litwie. Kłamstwa jego mają wiele ironii, a układ onych ma wiele poetycznéj śmiałości. Kiedy te baśnie układał — a chwila natchnienia przychodziła zwykle po obiedzie i śród szumu dworskiego — w ówczas zwykł był mawiać: »Cicho, dla Boga! cicho, Radziwiłł komponuje!« a dwór cały powtarzał: »Cicho! panu się koncepta roją!« —

11) Herb Radziwiłłów trzy trąby myśliwskie, do których za Sejmu unii orła białego dodano.

Witamy w Nieświérzu! witamy wasana!
No prosić mi tutaj księdza kapelana!
Mój panie kochanku! cóż słychać na Rusi?
Waszego starostę czy jeszcze bies kusi
»O lepsze« w zawody chodzić z Radziwiłłem?
Nie z takim ja grałem, kiedy w Chinach byłem; 12)
Lecz próżne zabiegi! daremne to troski!
Radziwiłł Radziwiłłem! Kaniowskim Kaniowski!« 13)

Tu nadszedł kapelan i listy przeczytał,
»Cóż pisze pan Cetner?« Radziwiłł zapytał —
»Czy przyjaźń mu nasza zawsze jeszcze miła?
Czy kocha, jak dawniéj, sługę Radziwiłła?«

Ha nie wiém co pisał, bo prawił ksiądz z cicha,
A książę się fuknął: »A co mi u licha!«
A potém się znowu trochę udobruchał
I głaskał czuprynę i mruczał i słuchał,
A ilem zmiarkować mógł z całéj rozprawy,
Zapraszał go Cetner po coś do Warszawy,
Ksiądz silnie nalégał — ja stojąc przed niémi,
Patrzałem na wszystko: Przed gankiem na ziemi
Leżało niedźwiedzich skór kilka rozbitych,
Per modum kobierca szkarłatem zeszytych,
A na nich stał stołek żelazny składany,
I stolik do ziemi kobiercem zasłany.
Na berle stawiano przy pańskim tuż boku 14)
Sokoła »Kubusia« z kapturkiem na oku.

Tu księciu zazwyczaj, gdy dzień był pogodny,
W rozmowach zwykł ranek był schodzić swobodny,
Wróciwszy z kaplicy tu zwykle zasiadał, 15)
I prawił z panami i śmiał się i śniadał;
I służba tam nieraz uśmiała się z duszy.
W dziedzińcu harcował nadworny koniuszy,
Lub gościom na pokaz, ogiery gnał w kole;
Tą razą gwintówka leżała na stole.

»Rozumiém!« — rzekł książę — »wszak mam ci ja głowę,
A pono i moja nie taka zbyt płaska!
Trzy grosze wart łaska, trzy grosze niełaska!
Daj pokój!« — i do mnie obrócił już mowę:
»Mój panie kochanku! upraszam waszmości
Na wszystkie afekta i wszystkie miłości,
W téj porze pod jesień, czy jest tam sumienie
Wyciągać mnie z domu na lada zachcenie?
Ba dobrze mu mówić: Radziwiłł niech jedzie!
Ta tu mnie pan Rejtan wystrzéla niedźwiedzie.
Gdy trąbka nie grywa, to choćby nie była!
Ej panie kochanku! zgubisz Radziwiłła!
Pofolguj na Boga! ja teraz nie jadę,
Lecz do mnie waść serca nie psujże z tąd sobie
I bądź mi spokojny, bo weźmiem my radę,
Dla pana Cetnera co mogę to zrobię,
Lecz jechać nie mogę! ponowa za pasem!
Nie mogę! — no, wołać marszałka tymczasem.«

(Dokończenie nastąpi.)

ANGLICY W ATENACH.

Komiczna pedanteryja Anglików stósowna jest zupełnie do kroju ich ubioru, a oziębłość ich umysłu zostaje w wielkiéj sprzeczności z wielką ich butą i wyniosłością. Ale wy wszyscy mało znacie Anglików, widząc ich tylko na poprzecz leżących w powozie lub smaczno zajadających budeń w oberzy, lub mając sposobność przypatrzenia się towarzyskiéj ich niezgrabności, albo splenowatemu ich zachowaniu się pośród domowego pożycia. Anglika trzeba widziéć w jego żywiole, widziéć w Atenach, w Partenonie, między wielkiémi zabytkami Propylejów, między obalonemi słupami i zapadłémi świątyniami, między szczątkami

---

12 i 13) Bohatérem dykteryjek Radziwiłła był on sam po największéj części — z tąd ironija, a teatrem jego powieści był świat cały — ztad śmiałość jego poetycznych obrazów; zwano też jego dykteryjki »Historyjami Radziwiłła na morzu i lądzie,« ale nie łatwo ktoś tak kłamać potrafi, jak to wybornie okazał Witwicki, mówiąc o poezyi ustnej starożytnej Polski. Wszakże i dawniéj umiano cenić te kłamstwa jenijalne. »Panie kochanku, Rybenko Radziwiłł« winien był połowę swéj wziętości tym kłamstwom swoim; wzbudzało to też emulacyją, i Mikołaj Potocki starosta Kaniowski, chcąc być równie głośnym w kraju, a nie mając dowcipu Radziwiłła, bawił się okrucieństwy i uwiecznił w narodzie swą pamięć kosztem dobréj sławy.

14) Byłto zwyczaj unoszone sokoły, których do łowów używano, sadzać na berle na podsieniach i w krużgankach dworów lub zamków. Zakładano im w ówczas kapturek na oczy, żeby nie bujały, u nóg miewały rzemyk z dzwonkiem przywiązany, który zwał się dłóżec. Nazywano też za zwyczaj sokoła każdego »Kubuś« a właściwie »Kubudź« przeto, bo zwykł kwilić przededniem, kiedy czas na łowy.

15) Wstępny krużganek w zamkach, a ganeczek z wystawką w dworach drewnianych jest właściwą i ozdobną cechą budownictwa naszego. Pod takiemi gankami upłynęła jedna połowa szlacheckiéj przeszłości naszej; nigdzie też nie miał ganek takiego znaczenia. Czém korona jest dla klejnotu szlacheckiego, gdy nad nim umieszczona, tém był ganek dla domu, dla dworu. Z tąd rozchodziły się rozkazy, do niego przychodziły z wieńcem i ukłonem gromady. Pod nim biesiada, gdy dla niéj w domu za ciasno, lub za parno było; pod nim ostatnie błogosławieństwa i pożegnania i strzemienne pod nim powitania. Wyrażenie »progi rodzinne,« ma coś rzewnego w sobie, czego gdzie indziej nie znają. »Za wysokie progi« oznaczało dóm pański, nie każdemu do przystępu łatwy, i t. d.

posągów, i od wiatrów zczernionémi pomnikami. Tamto dopiéro rozgrzéwają się ci wielcy ludzie; tam dopiéro topnieją lodowate skorupy z twardych serc tych zimnych pysznowładców; tam przedłuża się jeszcze bardziéj ich twarz, która sama przez się już długa; tam się z ich ust niedbale otworzonych, wymyka to zdumiałe *God dam!*—

Do tonu dobrego w Anglii należy być namiętnym miłośnikiem starożytności; a nawet, gdyby można jakiemu staremu słupowi, albo innemu starożytnemu kamieniowi w dziedzictwie swój majątek zapisać, jużby podobno nie jeden testament ze szkodą rodziny przeszedł był na takich martwych dziedziców.

Pewnego razu szedłem krok w krok za takim Anglikiem, będącym miłośnikiem starożytności. Anglik ten przewiesiwszy wtył kapelusz na głowie, i zarzuciwszy na siebie długi obwisły surdut, w wymuszoném, nito kapral ułożeniu, z miną komicznie-poważną, spieszył prosto z oberzy do jaskini Sokratesa. Leży ona u podnóża góry Filopapus, tworzy trzy obszérne jaskinie wykute w skale, z których dwie przez otwór podziemny z sobą są połączone. Przyszedłszy, stanął wyprostowany jak świéca przed wnijściem do téj sławnéj jaskini. Zdumiony rozpostarł ramiona i wytrzeszczył oczy w jaskinie, bo nie spodziéwał się na tém miejscu, gdzie Sokrates, najsławniejszy mąż w swoim wieku, wypił niegdyś truciznę, zastać bawarskich żołniérzy prowadzących słodki romans z dziéwczętami; były to żniwiarki, chroniące się w południe przed spieką słońca.

»*God dam?!*« Zawołał pomieszany, »jakże można tak znieważać to święte miejsce!« Ale dziéwczęta i żołniérze roześmiali się na widok dziwaka i mieli za większą filozofiję bawić się w téj jaskini pieszczotą, niżeli spełnić kielich gorzkiéj trucizny. Anglik sięgnął z flegmą do kieszeni i dał im kilka kolonat, ażeby się natychmiast z tych miejsc oddalili, co też i chętnie uczyniono; ale Anglik nie zrobił nic dobrego tym podarunkiem, bo od tego czasu, skoro się o tém dowiedziano, wszyscy ubodzy mieszkańce udają się do jaskini Sokratesa, i czekają na jakiego Anglika. Dumno-moralny Anglik zwiédziwszy wszystkie kąty téj podziemnéj krainy, odłupał toporkiem u laski, spory kamień ze skały, wpuścił go do kieszeni po lewéj ręce, i popędził jak wicher ku Akropolis, miejscu leżącém na przeciw téj jaskini. Zbiór kruszców, które miał w obwisłéj kieszeni, tłukł go wprawdzie niemiłosierdnie za każdym krokiem po jego długich nogach, ale na to flegmatyczny archeolog bynajmniéj nie zważał.

Z trwożliwo - nabożném uszanowaniem, z przyczyny stroméj drogi potem oblany, stąpił drzącą nogą na świętą ziemię Partenonu, poczém stanąwszy śród Propilejów, spojrzał wielomownem okiem na około, i— ziéwnął na całą gębę!

Naturalna, że łatwo mógłem wtedy zgadnąć stan barometru jego myśli: groby dawnéj wielkości otwarły się przed nim széroko. Stanąwszy jak słup nieruchomy, wlepił oczy w zapadłą przeszłość, leżącą przed nim w potężnych gruzach. Wnet wyjął z kieszeni po prawéj ręce książkę, która jego biblijotekę zawiérać się zdawała. Niemógłem na niéj postrzédz tylko to nazwisko: »Martorelli«; jestto zapewne ten sam głęboko uczony, który jak wiadomo, napisał dwa duże kwartanty o starożytnym kałamarzu, znalezionym śród gruzów w Herkulanum. Zapewne ten poczciwiec pisał także o starożytnościach greckich, lubo mnie o tém bynajmniéj nie jest wiadomo, i dla tegoto wziął go pan Anglik za swego przewodnika. Wartując długo w tém zestarzałem dziele, mimo znużenia swego, zaczął wspinać się po gruzach świątyni Zwycięztwa, Neptuna Erechtena, Minerwy i tym podobnych. Zdaje się, że w téj nieco przykréj przechadzce przeszkadzał mu kapelusz; chłodny wietrzyk ciągnął z morza po nad jaskinię; dla tego nasz Anglik zdjął kapelusz i włożył go na kamienną głowę niewieściego posągu, sam zaś swą głowę osłonił białą gamerką z czarnym kutasem, i w téj szlafmicy, z największą powagą podobien do chorego w szpitalu, postępował spokojnie w swém uczoném badaniu.

Przed szczątkami ogromnéj płaskorzeźby, na któréj jeszcze w słabych zarysach widać było zawodnika olimpijskiego na rydwanie, stali dwaj Grecy wiodący z sobą spór głośny.

Sprzeczka ich ściągnęła na siebie uwagę zamyślonego, na kształt ducha pomiędzy gruzami przechadzającego się Anglika, i właśnie gdy się do nich machanicznie przybliżał, rzekł jeden Greczyn do drugiego:

»Dobrze! idzie o zakład; oto jest dziesięć kolonatów. Ty mówisz, że ta płaskorzeźba jest wenecką, a ja mówię, że rzymską; jeżeli taki zuch z ciebie, załóż się ze mną.« »Dobrze, założę się!« rzekł drugi, wyjmując taką samę kwotę z kieszeni, »ale komuż oddamy za ręce te pieniądze, pokąd spór rozstrzygnionym nie będzie? A, otóż właśnie nadchodzi nasz przyjaciel Dymitry. Hej, Dymitry, Dymitry! Weź te dwadzieścia kolonatów do przechowania, aż nie przyprowadzę pana Pitakis, dyrektora Akropolis, aby nasz spór rozsądził.«

»Mości panie,« ozwał się Anglik lakonicznie« wpan przegrasz; ta płaskorzeźba jest rzymska.«

»Kiedy pan jesteś tego zdania, załóż się ze mną,« rzekł Greczyn, bynajmniéj niezmieszany, »o co idzie, że jest wenecką! Dymitry, oto masz jeszcze dwadzieścia kolonatów, przechowaj je; jeźli ten pan tak jest pewien swéj rzeczy, niechaj stawi podobną kwotę.« Anglik postawił.

»A teraz pójdziemy po pana Pitakis!« Zawołali jedno-ustnie wszyscy tréj Grecy i pobiegli w różnych kierunkach. — Anglik swego zwycięztwa pewien, usiadł sobie na ziemi przed płaskorzeźbą, ciesząc się już naprzód nie tak wygraną, jak głęboką nauką swych archeologicznych wiadomości.

Lecz tajemne przeczucie było zapewne przyczyną, że już zawczasu włożył na głowę szlafmicę, albowiem nadaremnie czekał do późnéj nocy, Grecy urwisze już nie wrócili; aż nareszcie dozorcy Akropolis dla nadchodzącéj nocy, zaczęli napominać Anglika, aby opuścił to miejsce. A tak Anglik, znający się doskonale na tém, co jest rzymskie, dowiedział się teraz, co jest i greckie; zbogacony jednem doświadczeniem więcéj, dał się wreszcie namówić do odejścia. Rad nie rad miał już wracać do domu, ale z niewieściego posągu zniknął mu kapelusz; musiał więc mimo swych archeologicznych wiadomości, zamiast lauru, odejść w szlafmicy, co też z powagą i bez najmniejszego pomieszania uczynił idąc przez ulicę Ateńską do swojéj oberzy, gdzie mieszkał.

Zresztą ta komiczna flegma nie zastanawia nigdy Greków, gdyż oni są już przyzwyczajeni od małego do tych podróżujących komików; i wiedzą dobrze, że w każdych starych murach, gdzie się kruki i sowy gnieżdżą, i Anglicy przebywać zwykli. Chętnie przyznałbym Anglikom owę sławną spaniałomyślność, gdyby ich równo unosiły ruiny dusz wielkich, jak ich unoszą ruiny starożytnych świątyń. Smutną jest rzeczą zaiste, że człowiek żyjący należy do obojętnéj rzeczywistości, a tylko umarły, daje po sobie do wzniosłego wyobrażenia pobudkę! Człowiek żyjący może sobie na piękne w niedostatku usychać, byleśmy go potém jako drogi zabytek w ramkach za szkłem uczcili. Za perukę biédnego Yorika zapłacił pewien Anglik znaczną kwotę, a żyjącemu Yorikowi nikt niedał ani jednéj gwinei, aby sobie sprawił nową!

Najśmiészniejszémi wydają się Anglicy, widząc ich zsuwających się po ślizkim kamieniu w poblizkości Areopagu. Gładki ten kamień, który się ze swojéj natury na wzgórzu spadzisto wychylił, mieć ma w skutek zabobonów greckich tę własność, że jeźli niepłodna niewiasta siedząco po nim na dół się zsunie, staje się na przyszłość rodzajną. Jakkolwiek samotném i bardzo oddaloném jest to miejsce, w którém się ten cudowny kamień znajduje, wszelako wstydliwe kobiéty nie mogą w żadnym czasie go odwidzać, jak tylko w nocy, gdyż po całych dniach suwają się po nim Anglicy! Jakoż to suwanie się badaczy angielskich po tym urokliwym kamieniu kończy się zwykle rozdarciem spodni i powszechnym śmiéchem obecnych Greków.

ZE LWOWA.

Henryk książę Lubomirski, miłośnik nauk i gorliwie nauki wspierający, dał świéże wtych dniach dowody, ile jest dbałym o wzrost naukowego Zakładu Ossolińskich, którego jest Kuratorem. Książę ten złożył w Muzeum ks. ks. Lubomirskich z Zakładem Ossolińskich połączoném, kilkadziesiąt polskich medalów złotych, jako pamiątki, z czasów począwszy od Zygmunta starego aż do czasów teraźniejszych. Zabytki te historyczne, zbierane znacznym nakładem, a teraz użytkowi powszechnemu poświęcone, są darem prawdziwie książęcym, ileże sama jego wewnętrzna wartość ważąc

podług oka, przeszło siedmset czerwonych złotych wynosić może. — Liczny zbiór numizmatyczny, pomnożony i ozdobiony takim przyrostkiem, będzie wprawdzie zawsze, co do darów książąt Lubomirskich, własnością tego imienia, atoli gdy ma przeznaczenie, dopokąd tylko Zakład Ossolińskich pozostaje w kształcie teraźniejszémi ustawami określonym, stać po uporządkowaniu swojém otworem dla miłośników numizmatyki, ważnych z tąd pożytków dla téj umiejętności spodziéwać się należy. — Zakład Ossolińskich umiejący cenić wartość tego znamienitego daru, czuje zapewne najżywiéj, ile winien hojności księcia Kuratora, który prócz tego księgami i dziełmi sztuki zasilać go nie przestaje, i jeżli zostając pod jego wpływem, nie składa publicznego hołdu, dzieje się to bez wątpienia dla tego, aby wrodzonéj książęcia nie ubliżać skromności: lecz gdy cnota jego obywatelska, cnota dla ogółu wylana, godna jest powszechnego uczczenia, niech wolno będzie temu, który te rzeczy w Zakładzie oglądał, czyn ten wspaniały powszechnie ogłosić i imieniem publiczności wielkodusznemu księciu należne złożyć dzięki.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Ner. 47. i obejmuje: 1) O zgromadzeniu gospodarczém. 2) Doświadczenia i uwagi p. Vitzthum względem istnienia trzech gatunków pszczół w jednym pniu, jako to: matki, pszczoły roboczéj, i truta. (Ciąg dalszy). 3) O paszy końskiéj. 4) O drożdżach i sposobach zachowania tychże. 6) Rozmaite wiadomości: Żaby czyszczą rury. O młynie z kołem wirowém. Nadzwyczajna rodzajność owcy.

Z Warszawy. Pan Maciejowski pracuje nad dziełem: *Życie domowe w Polszcze w XVI. wieku* i ma je prawie na ukończeniu. W dziele tém obejmuje także literaturę tego wieku, to jest pisarzy prozą i poetów po polsku piszących. — Pan Szabrański, zamyśla dalej wydawać swoje *Panorama literatury*. — P. Wojcicki ukończył *Stare gawędy i obrazy*. Dzieło to wyjdzie z rycinami, które w Lipsku wygotowują. Między innemi ma tam być »Widok Warszawy z roku 1656.« Ten gorliwy czciciel przeszłości i niezmordowany zbieracz starożytnych pamiątek, zajmuje się właśnie wykończeniem dzieła: *O teatrze starożytnym w Polszcze*.

Z Poznania. Znany zaszczytnie z gorliwości swojéj redaktor »Tygodnika literackiego« p. A. Wojkowski, rozpoczął wydawanie z dawnych rękopisów: *Pamiętników do panowania Augusta III. i Stanisława Augusta*, i dzieło to dla łatwiejszego nabycia poszytami wydaje, z których pierwszy wyszedł już na widok publiczny.

Z Wilna. Pan Strumiłło, ceniony autor *Ogrodów północnych*, pracując daléj w tymże zawodzie, wydał *Rozmaitości ogrodnicze* z figurami litografowanemi.

W Zwoleniu *(Altsohl)* w Węgrzech, założono czesko-sławiański teatr.

Ważne narzędzie miernicze. Doktor Sherwood w Ameryce utrzymuje, iż wynalazł matematyczne narzędzie, za pomocą którego sextanty i kwadranty bez chronometru, tudzież bez uważania gwiazd, długość i szérokość każdego miejsca na morzu i na lądzie, w nocy i w dzień, podczas słoty i pogody, równie jak i odmianę igły magnesowéj, z największą dokładnością oznaczyć można. Jeżeli to jest prawda, natenczas możnaby po narzędziu tém, podobnych jak przez wynalezienie kompasu spodziéwać się korzyści.

Ósmym cudem świata, w Ameryce północnéj nazywają teraz wodociąg w Nowym Jorku. Już od roku 1835 pracuje nad nim codziennie cztéry tysiące ludzi. Ma on być ukończonym w przeciągu 1841 roku i niemal dwanaście miljonów dolarów kosztować będzie. Ciągnąć się ma na 42 mil angielskich, azatém 15 sporych mil niemieckich. Wodociąg ten wymaga wystawienia mostu nad rzéką Hudson. Słowem, przechodzi on wszelkie najśmielsze budowle dawnych Rzymian. W porównaniu z nim *Cloaca maxima* w starym Rzymie będzie tylko fraszką, o co się najbardziéj gniewać nie przestaną zacięci filologowie, że już odtąd samych Rzymian, podobnie jak Cycerona i niezrównanego wszystkich czasów i narodów poetę — Horacego, bezwarunkowo podziwiać nie będą mogli.

Bilard i kręgielnia na statku parowym. Pisma publiczne donoszą, iż w Anglii dla reńskiego towarzystwa żeglugi parowéj, budują teraz statek, który w sobie bilard i kręgielnię mieścić będzie.

Nowo-zbudowany statek parowy. Właśnie ukończono i po raz pierwszy próbowano w Anglii statek parowy »*Archimedes*« zwany, w którym koła, w tylnéj części okrętu przed samym sterem, umieszczona śruba Archimedesa zastępuje. Sposób ten przyniesie dwojaką korzyść dla okrętów; albowiem przez uchylenie kół na okrętach wojennych, nzyska się miejsce na umieszczenie działobitni; oraz okręty od nieprzyjacielskich kul zabezpieczonémi zostaną. Statek »*Archimedes*« odbył z Londynu do Grawezundu dziewięć mil podczas pomyślnych, a pięć mil podczas przeciwnych wiatrów na godzinę. Śruba ta nie wzrusza tak mocno wody, jak ją zwykle koła wzruszają, z tego powodu i zetknięcie się takiego okrętu z pomniejszémi statkami nie jest niebezpieczne.

Rys arabskiego charakteru. W arabskiém plemieniu Neszdy, sławném z posiadania wybornéj końskiéj rasy, była jedna klacz, którą do najdzielniejszych koni w Arabii liczono. Wiadomo, że Beduini tak wielkimi są miłośnikami pięknych koni, iż, jeżeli im który z nich się podoba, dla dostania go wszelkich używają sposobów. Pewien Arab innego plemienia, nazwiskiem Daher, zaślepił się tak dalece w nadmienionéj klaczy, iż właścicielowi jéj dawał za nią wszystkie swoje wielbłądy, owce i konie; lecz nadaremnie, właściciel na żaden sposób nie chciał mu jéj odstąpić. Daher widząc go zaciętym, użył podstępu. Wycisnąwszy sok z pewnéj rośliny, obmazał sobie twarz i zeszpecił ją do niepoznania, poczém wdziawszy na siebie łachmany, i podwiązawszy sobie szyję i nogi na sposób skaleczonego żebraka, usiadł przy drodze, wiedząc, że tamtędy Nabek na swéj klaczy przejeżdżać będzie. Postrzegłszy zbliżającego się Nabeka, rzekł do niego udanym, słabym głosem: »Ach, zatrzymaj się, oto widzisz przed sobą ubogiego człowieka, który przez trzy dni nié miał w ustach kawałka chleba, — wesprzéj mnie, bo umrę z głodu! a Bóg ci nagrodzi!« Beduin podejmuje się wziąć go z sobą na konia, i zawieść do swego pomieszkania; ale przebiegły Daher odzywa się: »Ja się z miejsca ruszyć nie mogę, bo nié mam siły.« Nabek zdjęty litością, zsiada, i z wielką trudnością wsadza na klacz Dahera. Ten włożywszy nogi w strzemiona, spina klacz i rzeknie do Nabeka: »Masz wiedzieć, że jestem Daher, który twoję piękną klacz zdobył i teraz na niéj w stepy umyka.« Nabek zawołał nań, aby przynajmniéj posłuchał tego, co mu powié. Daher przekonany, że go Nabek pieszo dopędzić nie jest w stanie, wstrzymuje konia i zwraca się ku niemu. Wtedy rzekł do niego Nabek: »Jesteś panem méj klaczy, ponieważ Bóg tak chciał, aby twoją została, życzę ci więc, aby z nią szczęście na cię spłynęło; ale zaklinam cię, nie powiadaj przed nikim, jakim sposobem jéj nabyłeś.« — »A toż dla czego?« zapytał Daher. — »Ponieważ na drugi raz prawdziwie

ubogi i chory człowiek, zostałby opuszczonym na drodze. Ty byłbyś przyczyną, iżby nikt więcéj nad ubogim nie miał litości, z obawy, aby podobnie jak ja oszukanym nie został.« Zdziwiony tą uwagą, zamyślił się Daher przez chwilę, potém zsiadłszy z klaczy i pogłaskawszy ją, oddał cel swoich życzeń właścicielowi. Nabek uradowany podał mu dłoń przyjacielską i zaprosił go do swego pomieszkania, w którym Daher gościnnie przez całe trzy dni był podejmowany.

Cygaro wychodzi z mody. W Madrycie palą teraz tytoń z rurek porcelanowych, które nakształt maleńkich piszczałek bardzo pięknie zrobione, mają dziurki do wypuszczania powietrza, i prędkiemu paleniu tytoniu zapobiégają. Ten rodzaj nowych fajek starają się już fabrykanci w Paryżu i Londynie naśladować; robią je także ze śrébra i morskiéj piany.

Dyjament *Koh-i-noor.* Rundszyt-Syng zapisać miał świątyni w Jaggernaut sławny dyjament *Koh-i-noor.* Lecz do tego dyjamentu rości sobie prawo król Kabulu, Szach Szudsza, i spodziéwać się można, iż Anglicy tę protestacyję wspiérać będą, ponieważ za sprzedaniem tego dyjamentu odzyskaliby jakowąś część wydatków, które z powodu przywrócenia na tron Szacha ponieśli.

Gadający kanarek. Nic potwierdziło się uczonych znawców zdanie o ptakach: że kanarek z powodu właściwego ukształcenia gardziołka swego, tylko pisklewe ćwierki wydawać może. Królowa Wiktoryja w Londynie ma kanarka, który dokładnie wymawia: »Mój luby malcze! luby Dikey! Maryjo, Maryjo! Daj kawy!« Naśladuje dźwięk dzwonka, i wymawia często powtarzane słowa nierównie dokładniéj, niż gadające szpaki, sroki, albo papugi. Zaiste jestto ptak jenijalny.

Czyn szlachetny. Baron Ehrenheim, były prezydent szwedzkiéj kancelaryi pod Karolem XIII był bardzo poważany w Sztokholmie, jako przyjaciel ludzkości. Po zawarciu traktatu pomiędzy Szwecyją a Angliją, przeznaczony w takich wypadkach dla naczelnika gabinetu dar honorowy, stanowić miała jak zwykle tabakierka, wartująca 1000 funt. szterlingów. Lecz baron Ehrenheim dał szwedzkiemu posłowi w Londynie do zrozumienia, aby tę rzecz tak nakierował, iżby mu zamiast brylantowéj tabakierki pieniądze przysłano, i w liście zawiérającym tę próśbę, dodał jeszcze następujące słowa: »Jeżeliby angielski gabinet tym nadzwyczajnym krokiem się zdziwił, upoważniam wpana wyjawić moję tajemnicę, i panu Caningowi (podówczas sekretarzowi spraw zewnętrznych) oznajmić, że ponieważ w prowincyi Lohus, wielki niedostatek zboża panuje, przeto życzeniem mojém jest, użyć téj kwoty na wsparcie ubogich mieszkańców w owym kraju.« Żądanie to zdało się Caningowi być nadzwyczajném; lecz dowiedziawszy się o przyczynie, rzekł: »Pan Ehrenheim jest zapewne bardzo majętnym, że tak wielkie dary rozdawać może?« — »Bynajmniéj,« odrzekł poseł szwedzki, »on niéma żadnego majątku.« — »A jeżeli tak, to przewybornie!« odrzekł Caning, »zaręczam słowem honoru, iż się spełni jego życzenie; atoli ja domagam się od wpana tejże saméj łaski, i proszę, abyś kwotę tabakierki, którą zapewne rząd wpana dla mnie przeznaczy, dodał do summy, którą pan Ehrenheim dla prowincyi Lohus ofiarował.«

Sławny obiad. Lord B**, znany przez swoje zamiłowanie do wszystkiego, co tylko jest nadzwyczajném, dał niedawno w kąpielach w Lukka, kilku ziomkom obiad, osobliwszy w swoim rodzaju. Wszystkie potrawy, mięso, jarzyna i ryby, datowane były od dwóch lat i zachowane podług metody Apperta w najdoskonalszym stanie; za napój dawano podług najnowszego wynalazku oczyszczoną wodę morską i kleret, który przed sto laty na kupieckim okręcie w Tamizie był zatonął, a który za pomocą dzwonu nurkowego z niéj wydobyto. Chléb upieczony był z mielonego zboża, którego ziarno kilka tysięcy lat liczące, znalazł lord w jednéj piramidzie podczas swojéj podróży po Egipcie, i które potém w Anglii z największą starannością rozplenił. Zaproszeni goście, mieli być bardzo tym obiadem zadowolonymi.

Nagroda apostaty. Pewien Europejczyk będący w służbie jednego majętnego Turka, przeszedłszy na wiarę mahometańską, uwiadomił o téj okoliczności swego pana. »Bardzo mnie to cieszy, żeś sobie tak postąpił,« odrzekł mu Turek, »lecz ponieważ ci teraz wina pijać nie wolno, przeto co miesiąc dam ci trzydzieści piastrów mniéj, niż dotąd brałeś.« Przytém rozkazał miéć baczne oko na wiarołomcę, bo już mu niedowierzał i lękał się, aby oszukanym nie został.

Modniś. Sir Edward... był jednym z najprzystojniejszych modnisiów w Londynie. Młody, piękny, układny, śmiały, kroczył wesoło po drodze napełnionéj rozkoszą i zwycięztwami. Do dziéwczyn, których sobie pozyskał, należała także miss Anna G*, lecz on na nią nie zważał, bo nie była majętną. Albowiem do zupełnego jego szczęścia zbywało mu na jednéj rzeczy, to jest na pieniądzach; był on ubogim, a żyjąc przez długi czas z saméj pożyczki, spodziéwał się lada chwila być uwięzionym za długi. Nic już ocalić go nie mogło, jak tylko spieszna ucieczka. Postanowił więc do Aleksandryi odpłynąć. Gdy okręt rozwinął żagle, Sir Edward uczuł, że go ktoś uchwycił za rękę. Byłato miss Anna, która przyszedłszy rzekła: »Przychodzę dzielić z tobą twoje nieszczęście, dla ciebie zrzekam się i porzucam moję rodzinę, przyjaciół i nadzieję. Gdybym była bogatą, u nóg twoich złożyłabym cały majątek; ale nié mam nic, jak tylko moję miłość, i tę przynoszę ci w ofierze.« Cóż mógł odrzéc na to sir Edward? Okręt odbił od brzegu, i w krótkim czasie zniknął Tower z widnokręgu. Modniś przymuszony był zgodzić się z swojém przeznaczeniem. Oboje podróżni przybyli do Egiptu, a z tamtąd się do Turcyi udali. Miss Anna nosiła męzki ubior na sobie. W pewném tureckiém mieście udał się Edward sam do kawiarni, i zastał tamże kupca handlującego niewolnikami, z którym miał długą, potajemną rozmowę. Pod wieczór wyprowadził miss Annę na przechadzkę, i usiadł z nią pod cieniem palm dla wypocznienia. Aż oto nagle przybyło czterech uzbrojonych, którzy porwawszy młodą Angielkę, pomimo opiérania się i żałosnego krzyku, na okręt ją zanieśli. W godzinę późniéj kupiec handlujący niewolnikami zapłacił sir Edwardowi tysiąc cekinów. Nie minęło dni kilka, a sir Edward odjechał już do Niemiec, i we trzy miesiące późniéj przybył znowu do tego samego miasta z piękną Niemką. Ci sami rabusie wzięli znowu jego towarzyszkę, a kupiec zapłacił mu za nię znaczną kwotę. Taki sposób życia prowadził on przez lat dziesięć. Jeździł po Włoszech, Francyi, Rossyi i Hiszpanii, namawiał wszędzie dziéwczyny i w Turcyi je sprzedawał. Nakoniec odkryto jego zbrodnię i wymierzono mu zasłużoną nagrodę.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*